

WIĘK ILUSTROWANY

DODATEK NIEDZIELNY

Raz na tydzień

Zaledwie liście rozpekły na drzewach i pierwsza wiotka zieleń przetkała błękitne głębie, gdy oto miasto zaczęło wzdychać do wsi i — rozpoczęła się wędrówka za letnimi mieszkaniami i planowanie wakacji. Perypetye tych poszukiwań i projektów stanowią bogaty materiał z roku na rok dla humorystów, a jednak powtarzają się niezmiennie. Czy to tylko moda i ustalający się wraz z nią zwyczaj? Tak

sądzą niektórzy i obruszają się nawet na trwonienie „bez potrzeby“ pieniędzy na letnie mieszkania, bez których mniej zamożni obyć się nie mogą; tak samo mówią nieraz i o wyjazdach „chorych z przywidzenia“ czy i dokładniej: ludzi znużonych, przepracowanych lub neurasteników.

Co do mnie czasową emigrację letnią po za mury miasta czy to do siedzib letnich czy do miejscowości kuracyjnych, uważam za popędowy i naturalny odruch refleksyjny, za objaw instynktu samozachowawczego i samoobrony. Wyteżona praca w ogniskach miejskich, w fatalnych warunkach higienicz-

nych i wśród upartej walki o byt, wymaga niezbędnie odpoczynku, a ten odpoczynek, aby był skuteczny, powinien odbywać się na łonie przyrody. Domaga się tego równowaga pracy ludzkiej i w budzecie normalnym, obok nieprzewidywanych wydatków na lekarza, powinien się znaleźć przewidziany na odpoczynek letni

Przedewszystkiem musimy się zgodzić, że dziś ludzi bezwzględnie normalnych i bezwzględnie zdrowych niema. Nie ma także „chorych z urojenia“, którzy stanowili i stanowią dotąd temat dla satyry. Ze stanowiska społecznej medycyny Molière i Fredro przesunęli się nad swoim tematem powierzchownie. Bolbecki poszukujący u siebie ciągle choroby i pragnący ją wciąż leczyć, jest przez to samo typowym neurastenikiem, a więc istotnie chorym. Hydrotaty, oczywiście nie pod młynem i po zjedzeniu prosięcia, pomogłaby mu niewątpliwie. Takich Bolbeckich z pozoru zdrowych, nie leżących w łóżku, a nawet z wysiłkiem pracujących, mamy dziś bardzo wielu, a dla nich wypoczynek wakacyjny stanowi niemal warunek *sine qua non* dalszej pracy i dalszego istnienia. Chora dusza XIX stulecia wydała już kilka pokoleń, a liczba ich wzrosła, jeżeli nie wzmogą się odruchy samoobrony.

W feljetonach swoich rozwijałem już niejednokrotnie myśl niezbędnej reakcji przeciw ogniskowaniu się miast, które stanowią główne warsztaty chorób nerwowych. Czy utopia rozrzucenia tych ognisk na szersze przestrzenie urzeczywistni się kiedy, czy w końcu nie zbraknie miejsca i nie będziemy musieli pisać dalej w górę piętami, zamiast rozsiedlać się poziomo bliżej piersi ziemi, na to odpowiedzieć w tej chwili nie można. Pozostaje przecież faktem, że największe ogniska ludzkie, jak Londyn i Paryż, wytworzyły już obok siebie całe aneksy wiejskie lub przynajmniej pół-wiejskie i że coś podobnego czeka koniecznie i Warszawę. Zanim to jednak nastąpi, ludność powinna przynajmniej w porze letniej, w okresie rozkwitu natury, wyrwać się z murów, jeśli nie chce poddać się bez protestu rozkładowemu działaniu zarazy nerwowej. A jest to faktycznie zaraza, która przez krew udziela się pokoleniom.

Mam właśnie przed sobą pracę dr. W. Polańskiego w jednym z zeszytów *Zdrowia*. Znajduję w niej ciekawe wywody o dziedziczności nerwic, które z ojca na syna, z matki na córkę przechodzą drogą smutnego spadku. „Choroby układu nerwowego — pisze dr W. P — coraz więcej rozpowszechniają się w naszych czasach do tego stopnia, że niektórzy wiek XIX-ty, wiek najwyższego rozwoju myśli ludzkiej, zupełnie, niestety, sprawiedliwie nazywali wiekiem chorób nerwowych i osłabienia nerwowego. I w dawniejszych czasach choroby nerwowe były znane lekarzom; są one stare, jak ród ludzki; cały szereg opisów poświęcony cierpieniom w dziełach Hipokratesa. Lecz dopiero w drugiej połowie XIX-go stulecia choroby nerwowe stały się bardzo częste, a szczególnie nerwice, histerya i neurastenia ogromnie rozszerzać się poczęły. Neurastenia, jak ongi powiedział Tissot, choć nie jest sama przez się niebezpieczną chorobą, lecz jest strasznym udręczeniem dla pacjentów i ich otoczenia i choć nie skraca życia, lecz zatrzuwa wszelką rozkosz i przyjemność, człowieka energicznego i wesołego przemienia w pesymistę, niechętnego do pracy, który w dalszym ciągu te zgubne cechy swego charakteru, wstępując w związki małżeńskie, zazwyczaj przekazuje swemu potomstwu, jeżeli wpływy zewnętrzne w późniejszym życiu choć w pewnej mierze nie zmodyfikują szkodliwych właściwości charakteru, nabytych drogą dziedziczności. Lecz skoro warunki życia złożyą się odpowiednio, można stanowczo twierdzić, że dziecko rodziców zdrowych będzie zdrowe i silne pod każdym względem, (energicznych — energiczne, nerwowych i wycieńczonych okaże się skłonem do różnych cierpień nerwowych i będzie wogóle słabowitem, niezdolnym do pracy i normalnego życia, do trudnej walki o byt, i tylko w wyjątkowych wypadkach wyłamie się z pod tego zasadniczego prawa. Podobnie jak w gruźlicy i w chorobach układu nerwowego bywa, że nie sama choroba się dziedziczy, lecz tylko usposobienie, i przytem wogóle do najróżnorodniejszych chorób układu nerwowego; sama zaś choroba rozwija się dopiero pod wpływem różnych czynników, działających w późniejszym życiu“.



Ś. p. ks. Biskup Henryk Kossowski,

ur. w r. 1828 zm. 2 maja 1903 r.

mach na porządek społeczny, dość po za tem zadawalniający.

Człowiek ponowił swe zapytanie, podnosząc rękę do kapelusza?

— Czy mam zawołać stangreta?

Mimowoli, nie formułując nawet dokładnie wrażenia, które przemknęło jej przez mózg — pani Larardin zauważyła jego sposób kłaniania się, zupełnie poprawny, wyraz oczu, linię nosa, całą fizjonomię, jednym słowem, której ogólny charakter wyrwał jej półgłówną uwagę, niemal zapytanie:

— Kto to może być ta postać?

Ruchem nieśmiałym i proszącym nieznanemu pokazywał jej znów powóz; rąbek obszarpanej bielizny ukazał się z pod wytartego rękawa. Pani Larardin-Beaucler odwróciła głowę.

— Dobrze, proszę sprowadzić karete, tylko prędko. Stangret nazywa się Gilbert.

Stangret wycofał konia z szeregu czekających pojazdów; kareta nadjeżdżała, sunąc lekko na gru-

powozu patrzyła jeszcze nań jasnowłosa główka kobiety, wzruszonej trochę, zdziwionej zbiegowiskiem i rozrytowanej zarazem na niezręcznego nędzarza, winnego temu zgromadzeniu nieprzychylnego dla niej tłumu.

Lecz on już oddalał się, podtrzymywany przez silne ramię policyanta, cbyłąc na piersi głowę w przewidywaniu kazania, czegoś gorszego może, co go spotka w komisaryacie. Jednocześnie, w półzamyśleniu przesuwali mu się przez głowę różne uwagi. Sformułował jedną z nich głośno:

— Nie powinno się zaprzęgać do powozu takiej zerwanej szkapy.

Agent potrząsnął go za ramię, sądząc, iż ma do czynienia z człowiekiem bredzącym lub pijanym.

— Otworzyłem portyere, to prawda, panie komisarzu, — rzekł, opierając się o czarny stół, zarzucony papierami o wyglądzie groźnym, — lecz nie jestem ani żebrakiem, ani włóczęgą.

— Możesz pan sprawdzić, panie komisarzu, iż mój paszport wizowany jest przez konsulów francuzkich w Ameryce.

— W Paryżu mieszka pewna markiza de Vardes..

— To moja żona.

I widząc zaciekawienie urzędnika, dodał, ulegając mimowolnej próżności:

— Jestem prawdziwym markizem de Vardes. Przewiniłem wobec mej żony i przewiniłem ciężko. Później, miałem przykre zajście z powodu mej stajni wyścigowej; znaleźli się ludzie, twierdzący, iż kursa odbywały się nieprawidłowo. Pewnego pięknego poranku przyszła całkowita ruina; wszyscy skorzystali z niej, by się odemnie odwrócić. Wyjechałem do Ameryki, licząc, iż odbuduję fortunę. Lecz nie udaje się to już tam obecnie. Ciągnąłem tak życie przez lat 15, zarabiając ledwie na chleb. Obecnie wróciłem; jestem w Paryżu od tygodnia.

Komisarz pamiętał dobrze ten dramat, o którym swego czasu rozprawił cały Paryż: zdradę małżeńską, odkrytą przez żonę, skandale separacji i procesu, podejrzenia o nieregularne wyścigi konne, potem ruinę, nagłą, straszną i całkowitą, wreszcie zniknięcie markiza, zupełny brak o nim wieści. Popatrzył przez chwilę na tę ruinę ludzką.

— Cóż pan masz zamiar począć?

— Powiedziałeś mi pan, panie komisarzu, iż markiza de Vardes żyje jeszcze. Gdzie zamieszkuje obecnie? Miałem również córkę. Nic o nich nie wiem od lat dziesięciu. W jakiej znajdują się sytuacji?

— Trudno by mi było poinformować pana dokładnie. Ale mogę z łatwością znaleźć adres pańskiej rodziny. Zdaje mi się jednak, iż słyszałem o bogatym zamążpójściu pańskiej córki.

Przerzucił książkę adresową i przeczytał głośno:

— Markiza de Vardes, 40 ulica Lamennais.

Komisarz wahał się obecnie. Gdyby przeprowadzony przezeń człowiek był sobie zwyczajnym śmiertelnikiem, posłałby go z pewnością do domu karnego za żebractwo i włóczęgostwo.

— Możesz pan odejść. Jesteś wolny, rzekł w końcu.



Rys. oryg. T. Jaroszyńskiego.

bych kołach gumowych. Pani Lavardin przesunęła się szybko przez trotuar; za nią szedł biedak, spiesząc otworzyć portyere. Lecz wstrzymała go gestem, w którym malował się wstręt wyraźny, i rzuciła stangretowi krótkie:

— Wracamy.

Lecz, sadowiąc się w powozie dojrzała znów przez krótką chwilę, niespokojną i błagalną, potem rezygnowaną twarz nędzarza, od którego myśl jej już daleko odbiegła. Przypomniała sobie, iż ma wobec niego dług, a pełna burżuazyjnej uczciwości w kwestyach pieniężnych, poczuła wyrzut sumienia i spuściła prędko szybę, chcąc zapłacić za usługę.

W tymże momencie koń ruszył nagle; ręka dająca zminęła się z wyciągniętą ręką biedaka, który potknął się i potoczył pod koła... naokoło rozległ się głośny krzyk tłumu.

Człowiek wstał już, był nieuszkodzony, ciężkie, lecz miękkie koła przygniotły go za ledwie. Z okna

— Jakież są wasza profesja i nazwisko? Gdzie papiery?

— Nazywam się Sosteniusz de Vardes.

Wymówił to nazwisko tak znane, tak sławne, subtelne, niebezpieczne i enigmatyczne ulubieńca Ludwika XIV-go z całą prostotą, nie kładąc na nie żadnego nacisku. Komisarz nie słuchał go, przewracając żółtkie i brudne kartki papierów, które nędzarze zawsze muszą nosić przy sobie.

— Cóż to jest znowu? Co ma znaczyć ten akt urodzenia?

— To moja własna metryka.

— Kpisz sobie ze mnie. Komu to ukradłeś?

— Nie jestem złodziejem, panie komisarzu. Jest to mój akt urodzenia, nie posiadam innego.

— Jaki? Jesteś pan Ludwikiem-Agenorem Tymoleonem Karolem Maryanem Sosteniuszem de Vardes, księciem d'Henrichemont. Cóż za historię mi opowiadasz?

Wprowadzono nędzarza do długiej galeryi, wybitej kobiercami; w drzwiach iskrzyły się lustrzane szyby. Była to galerya nowoczesnego domu, ubrana ze zbytkiem sztucznym i pozbawionym powagi, dzisiejszym, wygodnym, wesołym, właściwym dla ludzi uważających swe mieszkanie za obozowisko. Pokryta miękkimi dywanami i ustawiona lekkimi białymi meblami, galerya ta zdziwiła przybysza. Nie czuł się bezpieczny w tym nadmiarze światła i jasności i kurczył się w sobie, otulając się szczerlnie w swe ciemne ubranie. I nastawał, jakby chciał obronić się przed spoglądającym nań wrogo lokajem.

— Tak, chcę widzieć samą markizę de Vardes.

Nagle otworzyły się drzwi, w których obramowaniu ukazała się młoda, jasnowłosa kobieta.

Postąpiła kilka kroków naprzód śliczna i groźna, podobna do młodej wojowniczej Walkiryi.

— Dla czego wpuszczono tu tego człowieka, Józefie?

Lecz wnet przypomniała coś sobie.

— Może to wy wczoraj... dano wam mój adres? Tem lepiej.

Ten człowiek chce widzieć panią markizę.

— Dlaczegoż to? Moja to rzecz, a nie matki. Ja jestem panią Larardin-Beaucler. Zaraz was wynagrodzę...

Poczęła szukać pieniędzy w złotej sakiewce, zawieszanej na złotym również łańcuszku.

— Ach, więc markiza de Vardes jest pani matką! — wyszeptał starzec.

— Tak. Ale coż to za zapytanie? Coż to was obchodzi?

Brudne ręce miętosiły nerwowo zrudziały kapelusz, pod siwym, zaniedbanym zarostem poruszyły się usta. Nagle nędzarz zobaczył swe odbicie w wielkiem lustrze, tuż przed sobą. Zdziwił się sam, widząc w tym salonie takiego włóczęgę i żebraka, którego miejsce było w oficynie... On kazałby był natychmiast wyrzucić za drzwi taką postać, razem z lokajem, który ją wprowadził.

Delikatna rączka o skórze gładkiej, jak atlas, wsunęła mu w dłoń parę sztuk złota. Spojrzał na hojną dawczynię: wszak była to Dyana de Vardes, jego córka!

— Wyszła za parweniusza dla jego pieniędzy i dobrze zrobiła. Pieniądz jest dziś wszystkim, — pomyślał.

Medytacje jego przerwał głos dźwięczny i ostry zarazem:

— No, mój przyjacielu, możecie odejść. Gdybyście jeszcze kiedyś czego potrzebowali, zgłóście się do oficyny.

Nędzarz uklonił się i wyszedł. Wiedział, że nigdy, przynigdy nie zdecyduje się przyznać do swego ojcostwa po ponizeniu, w jakim go córka widziała. Nie, nigdy...

I pomyślał, wążąc w rękę sztuki złota:
— Jeden... dwa dobre obiady. A potem?..
Ba, pozostaje mi zawsze Sekwana.

Conan Doyle.

CZŁOWIEK O WYWRÓCONEJ WARDZE.

Przekład z angielskiego.

(Dokończenie.)

— Droga pani, — odpowiedziałem, — chociażbym nawet nie był starym żołnierzem, nie potrzebowalibyś mnie przepraszać.

— Teraz zaś, panie Sherlock Holmes, — mówiła pani Saint-Clair, wprowadzając nas do oświetlonej jadalnej sali, w której przygotowana była zimna kolacja, — chciałabym panu zadać kilka pytań, na które spodziewam się otrzymać zupełnie szczerą odpowiedź.

— Niewątpliwie, pani.

— Odrzuć pan na bok uczucie. Nie mam wrażliwych nerwów, a wiedzieć chcę przede wszystkim, jakie jest pańskie zdanie.

— Co do czego?

— Czy wierzysz w to istotnie, że Neville żyje? Sherlock Holmes zawahał się z odpowiedzią.

— Mów pan szczerze, — nalegała, stojąc przed krzesłem, na którym siedział i patrząc mu badawczo w oczy.

— Coprawda, nie wierzę w to, pani.

— Sądzi pan, że umarł?

— Przypuszczam.

— Że został zamordowany?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Może.

— Którego dnia umarł?

— W poniedziałek.

— A zatem, zechciej mi pan wytłumaczyć, jakim sposobem otrzymałam dziś od niego list?



Willa Medici w Rzymie, w której mieści się francuska akademія sztuk pięknych.

— Gdy się spieszył, pisał tak, jak w tym oto liście. Nie jest to podobne do zwykłego jego pisma, jednakże i tu rękę jego rozpoznaję jaknajdokładniej.

„Droga przyjaciółko. Nie przerażaj się. Wszystko się ułoży. Zaszło poważne nieporozumienie, które nieprędko się wyjaśni. Miej cierpliwość. Neville“.

Napisane to jest ołówkiem na białej stroniczce wydartej z książki in-octavo. Hm! oddane na pocztę w Gravesendzie przez człowieka, który miał brudne palce. Ha! a koperta została zalepiona przez kogoś kto zuje tytuł. Mimo to jest pani pewna, że to pismo jej męża?

— Najpewniejsza. Neville własną ręką nakreślił te wyrazy.

— List ten oddano na pocztę w Gravesendzie dzisiaj. A zatem, pani Saint-Clair, widnokrąg wydaje mi się mniej posępny, nie śmiem jednak spodziewać się, aby wszelkie niebezpieczeństwo zostało usunięte.

— Ale on żyje?

— Chyba że list ten jest pułapką, aby nas wprowadzić na fałszywą drogę. Przede wszystkim

pierścień nie jest żadnym dowodem. Mogł zostać skradziony.

— Nie, nie; jest to niewątpliwie jego własne pismo.

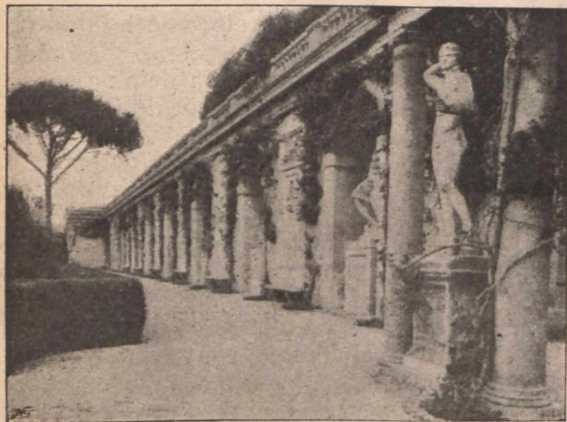
— Nie zaprzeczam! Jednakże list mógł być napisany w poniedziałek, a wrzucony na pocztę dopiero dzisiaj.

— Jest to możliwe

— Jeżeli tak jest w istocie, wiele rzeczy zająć mogło przez ten przeciąg czasu.

— O panie Holmes, nie trzeba mi odbierać odwagi. Wiem, że nie stało mu się nic złego. Łączy nas tak serdeczna sympatya, że odczuwałabym, gdyby mu się wydarzył jakiś wypadek. Ostatniego dnia, w którym widzieliśmy się, zaciął się w palec; wtedy nie znajdowałam się przy nim, lecz w jadalnym pokoju. Jednakże pobiegłam do niego, odgadując, że się coś stało. Czy sądzi pan, że odczuwając drobnostkę, mogłabym nie wiedzieć o jego śmierci?

— Mam za wiele życiowego doświadczenia, by nie przyznać, że wrażenia kobiety są nieraz bliższe prawdy od twierdzeń filozofa; a list ten jest niewątpliwie dowodem, że pani nie jest w błędzie.



Ogród willi Medici.

Sherlock Holmes skoczył z krzesła, jakby podrzucony sprężyną.

— Co pani mówi? — wykrzyknął.

— Tak, dzisiaj.

I uśmiechała się, pokazując ćwiartkę papieru.

— Czy mogę przeczytać?

— Naturalnie.

Gorączkowo wyrwał z jej rąk owo pismo i rozkładając je na stole podsunął pod światło, by mu się przyjrzeć jaknajdokładniej. I ja również podniosłam się z krzesła i stanawszy za Holmesem przyglądałam się listowi.

Na kopercie, bardzo prostej, był odcisnięty stempel pocztowy z Gravesendu, z datą dnia, raczej wigilii, było już bowiem po północy.

— Jest to pismo ordynarne, — szepnął Holmes. — Jaknajpewniej nie jest to pismo męża pani.

— Może być, lecz list od niego pochodzi.

— Poznaję również, że osoba, która pisała na kopercie, zapytywać musiała o adres.

— Zkąd pan to może wiedzieć?

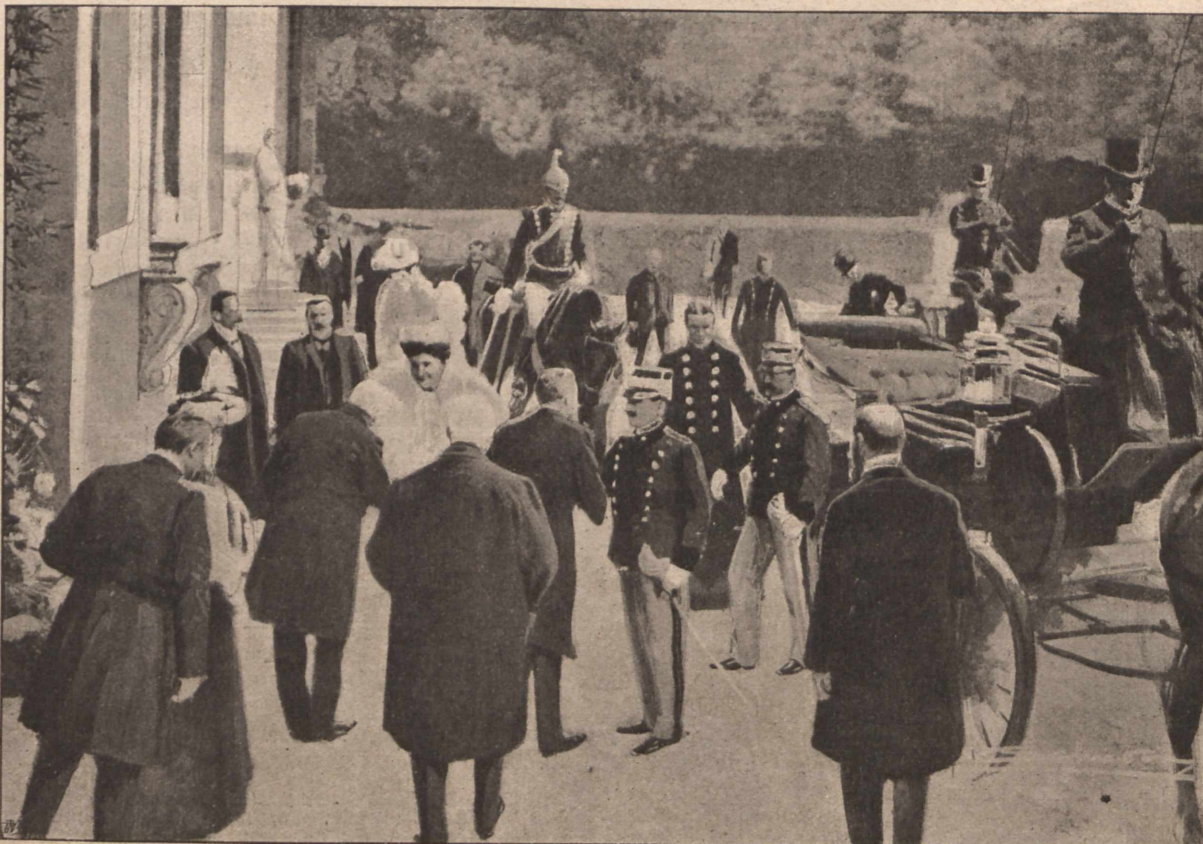
— Zobacz pani sama. Nazwisko napisane jest czarnym atramentem, któremu dano wyschnąć. Reszta ma szarawą barwę atramentu wysuszonego zapomocą bibuły. Gdyby całość została napisana bez przerwy a potem wysuszona, czem to objaśnić, iż część adresu nie zmieniła swego pięknego czarnego koloru? Człowiek, który napisał nazwisko, zawahał się potem przed wypisaniem adresu, co dowodzi, że nie był z nim obeznany. Na razie bląhą wydaje się ta wskazówka, może mieć jednakże swoje znaczenie. Przypatrzmy się teraz listowi. Ale, zawierał widocznie jakiś przedmiot...

— Istotnie, pierścień, czyli pieczęć mego męża.

— A czy pani jest zupełnie pewna, że to jest pismo jej męża?

— Tak, gdyż używał kilku rodzajów pisma.

— Jakto kilku?



Obchód stuleria francuskiej akademii sztuk pięknych w Rzymie. — Przybycie króla włoskiego do willi Medici.

nie wykonał, nie dał nam bowiem analizy kwestyi rolnej, lecz jednostronne jej oświetlenie i dla tego wnioski jego ostatecznie nas nie przekonywują, tembardziej, że stoją w sprzeczności z obserwacjami, jakie w najbliższych nam stosunkach robić możemy. Wbrew wywodom autora widzimy w naszej warstwie włościańskiej, warstwę najbardziej do postępu i do odegrania roli poważnej w życiu społeczeństwa zdolną. Erudycya i nagromadzony materiał, jako nie obejmujący całości kwestyi jest nie wystarczający. Takie jest ogólne po przeczytaniu książki wrażenie, dowodzenie słuszności tych twierdzeń zbyt dużo by zajęło miejsca, musimy go więc zaniechać. Dzieło p. Krzywickiego jest ciekawe, daje bowiem poznać czytelnikowi polskiemu zapatrywania przedstawicieli demokracji miejskiej w Europie zachodniej, na kwestyę agrarną i znaczenie warstw rolniczych dla przyszłości.

Dr. S. Kozicki.

Jubilatki ostatnich tygodni.



Fot. M. Puscha (Fotografia Teatrów Warszawskich).

Walerya Niewiarowska,
artystka dramatyczna.

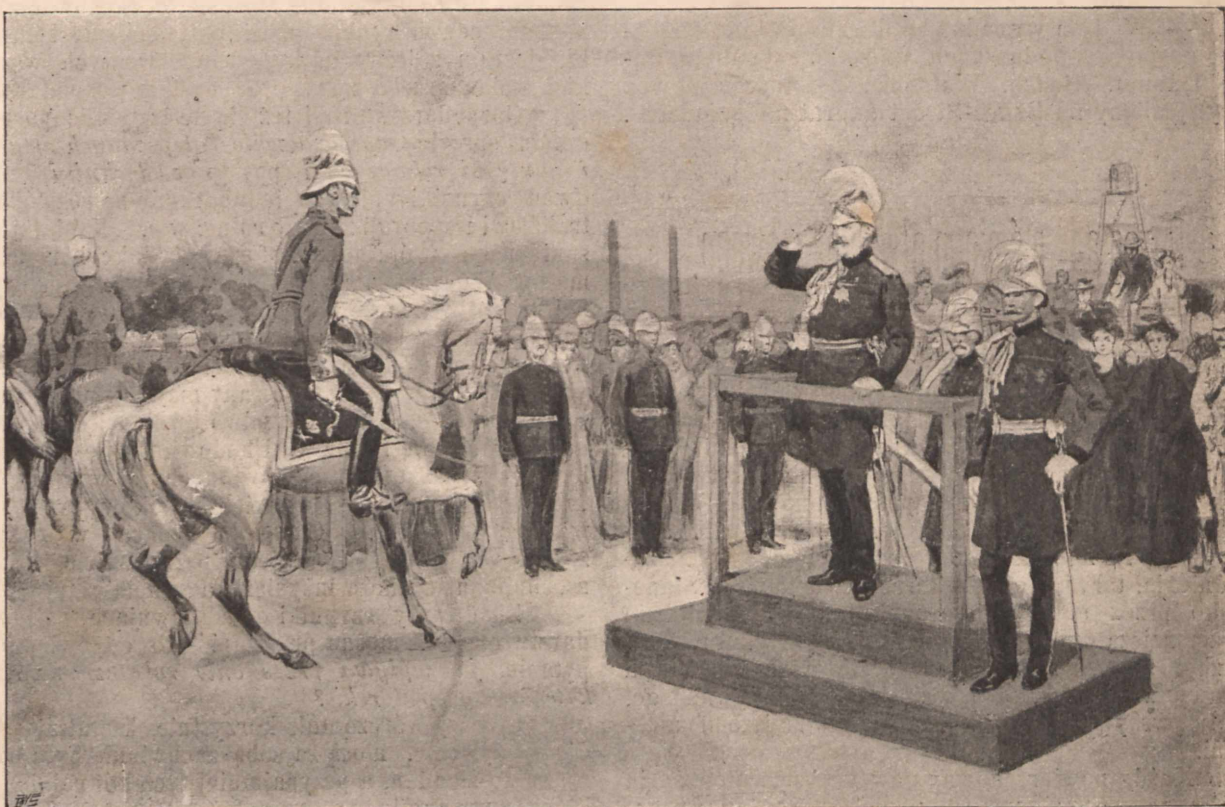


Anastazyja Szepełkowska,
artystka opery.

Kolosalny trust.

Amerycanie pragną stanowczo polknąć świat cały, zmonopolizować wszystkie rynki, osiąść wszelkie przemysły, zawładnąć każdym objawem życia przemysłowego.

Nie dość było olbrzymiego trustu transatlantyckiego, nie dość projektowanego trustu kolejowego, oto donoszą telegramy o sformowaniu się w Chicago nowego olbrzymiego trustu, którego celem jest zawładnięcie wszystkimi towarzystwami gazowymi starej Europy.



Podróż króla Edwarda VII. — Przegląd załogi w Gibraltarze.

Za parę tygodni odbędzie się w Paryżu konferencya amerykańskich delegatów z reprezentantami towarzystw gazowych.

Oto co mówi zresztą telegram otrzymany z Chicago: Grono kapitalistów z Rockefellerem na czele złożyło sumę 1,000,000,000 dolarów (5 miliardów franków) w celu sformowania trustu gazowego, który obejmie najróżnorodniejsze towarzystwa gazowe we wszystkich wielkich miastach europejskich.

Projekt dał pewien kapitalista z Cziagog, przyczem znaczny udział wniosło towarzystwo „People's Gas light and Coke Company“.

Spodziewają się tutaj, że kapitaliści nowyorkscy wniosą wielkie udziały, a Rockefeller udział ma wynosić więcej niż 300,000,000 dolarów.

Oprócz niego wejdą do spółki Anthony Brady jeden z większych akcjonaryuszów „Third Avenue Elevated Road“, dalej D. O. Mills, wreszcie A. Flower.

Najczynniejszym w wykonaniu tego projektu jest C. K. G. Billings, który wspólnie z A. Brady za parę dni przybędzie do Paryża, dla skończenia sprawy.

Jakkolwiek czyniono wszystko co tylko było można, aby utrzymać sekret, sprawa rozniosta się przed paru dniami na giełdzie paryskiej.

Wreszcie p. Trade, adwokat, który zastępuje Billingsa w wielu sprawach w Chicago, powiedział do pewnej osoby, że to co robi w Anglii dla spraw lokomocyi Charles Yerkes, ma uczynić Billings w Paryżu i innych wielkich miastach, dla gazu.

W krótkim tedy czasie dowiemy się, że wszyst-

kie towarzystwa gazowe poddaly się kolosom amerykańskim, które powoli, zwolna monopolizują przemysł świata całego, dzięki potężnej inicjatywie i jeszcze potężniejszym milionom.

Z piśmiennictwa.

□ „Guide officiel de Woerishofen et de la cure Kneipp; édition 1903“. (Przewodnik urzędowy po Woerishofen z objaśnieniem kuracyi Kneippa; wyd. 1903). Przewodnik ten ma na celu pouczenie, w krótkiej a przystępnej formie, tak lekarzy jak publiczności, o wszystkim, co dotyczy metody kuracyjnej Kneippa i samej miejscowości Woerishofen, będącej głównym centrum kuracyi. Pomiedzy innymi, streszcza on rozprawy specjalne, napisane w tym celu przez dra Baumgartena, a mianowicie: o specjalnościach charakterystycznych hydroterapii Kneippa, o dyletacje tegoż, o środkach do przedsiębrania przy zastosowaniu kuracyi, o zapatrywaniu się Kneippa na choroby, o środkach przeciwnym, o roślinach i t. d. Życzący sobie informacji w tej mierze, otrzymać mogą „Przewodnik“ darmo i franco. Adres: Librairie Hartmann à Woerishofen (Baviere).

□ *Albert Wilczyński*, Wycieczka na Krzyżne. — Lekcja flirtu — Sprzedaję las. — Dla honoru medycyny. — Zemsta Feliksa. — Turysta z Giliowa. — Syn obywatelski. — Zapóźno. — Iskra w popiele. — Po dobrym obiedzie. — Pan Marcin.) Lwów, 1903, Gubrynowicz i Schmidt, str. 296 w 8 ce.



Podróż prezydenta Loubeta do Algieru. — Wylądowanie w Admiralcei.